

Philip K. Dick - Majstersztyk

www.bookswarez.prv.pl

Pod kopтером Milta Biskle'a rozposcieraly sie zyzne od niedawna ziemie. Zrobil dobra robote w tej strefie Marsa, znów zielonej, odkad odtworzył starożytną sieć nawadniająca. Wiosna - dwie wiosny rocznie przysły do tego jesiennego świata piasku i skaczących ropuch, świata wyschniętej spekanej ziemi i pyłu minionych czasów, ponurych i bezwodnych ugorów. Już niedługo pojawia się pierwsi przybysze z Ziemi, obejmą swoje nadzieje i przystapia do pracy. On swoje zrobił. Może wróci na Ziemię albo sprowadzi rodzinę tutaj wykorzystując prawo pierwszeństwa - należało mu się to jako inżynierowi rekonstrukcji. Strefa Żółta znacznie wyprzedziła strefy wszystkich innych inżynierów i teraz przyszedł czas nagrody.

Milt Biskle wyciągnął rękę i wcisnął klawisz długodystansowego przekaźnika.

- Tu rekonstruktor Strefy Żółtej - zgłosił się. - Potrzebuje psychiatry. Wszystko jedno jakiego, byle szybko.

Kiedy Milt Biskle wszedł do gabinetu, doktor DeWinter wstał i wyciągnął rękę na powitanie.

- Słyszałem - powiedział - że ze wszystkich przeszło czterdziestu inżynierów rekonstrukcji pan okazał się najbardziej twórczy. Nic dziwnego, że jest pan wyczerpany. Nawet Bóg musiał odpocząć po sześciu dniach takiej pracy, a pan to robił przez lata.. Czekać na pańskie przybycie otrzymałem z Ziemi wiadomości, które pana zainteresują - powiedział biorąc z biurka biuletyn.

- "Pierwszy transport osadników przybywa na Marsa..." i tak dalej. Zostaną skierowani do pańskiego sektora. Gratulacje, panie Biskle.

- A gdybym tak wrócił na Ziemię? - spytał Milt Biskle.

- Ale jeżeli chce pan tu objąć nadzór dla swojej rodziny... - Chce, żeby pan coś dla mnie zrobił - powiedział Milt. - Ja jestem zbyt zmęczony, żeby... - tu zrobił gest ręką. - Albo może przygłębiony. W każdym razie chciałbym, żeby pan załatwił umieszczenie moich rzeczy łącznie z moim doniczkowym wugiem na pokładzie transportowca wracającego na Ziemię.

- Szesc lat pracy - powiedział DeWinter. - A teraz chce pan zrezygnować z nagrody. Byłem niedawno na Ziemi i wszystko jest tam tak, jak pan pamięta...

- Skąd pan wie, jak ja to pamiętam?

- Powiniennem raczej powiedzieć - poprawił się gładko DeWinter - że wszystko jest tam, jak było. Przeludnienie, ciasne komunalne mieszkania z jedną małą kuchnią na siedem rodzin. Autostrady tak zatłoczone, że przed jedenastą nie można ruszyć z miejsca.

- Dla mnie - powiedział Milt Biskle - przeludnienie będzie atrakcją po sześciu latach spędzonych w towarzystwie automatów. - Zdecydował się. Mimo tego wszystkiego, czego dokonał tutaj, a może właśnie dlatego, postanowił wracać. Bez względu na argumenty psychiatry.

Doktor DeWinter mruczał pod nosem.

- A jeśli pańska żona i dzieci znajdują się w tym pierwszym transporcie? - Raz jeszcze podniósł biuletyn ze swojego uporządkowanego biurka i zaczął go przeglądać. - Biskle Fay, Biskle Laura, Biskle June. Kobieta i dwoje dzieci. Czy to pańska rodzina?

- Tak - przyznał Milt drewnianym głosem patrząc wprost przed siebie.

- Sam pan widzi, że nie może pan wracać na Ziemię. Niech pan lepiej założy włosy i przygotuje się na spotkanie ich na Lotnisku Numer Trzy. I niech pan wymieni żeby. Teraz ma pan stalowe.

Dotkliwie zawiedziony Biskle kiwnął głową. Jak wszyscy Ziemianie stracił zęby i włosy na skutek opadu radioaktywnego w czasie wojny. W swojej codziennej samotnej pracy nad rekonstrukcją Strefy Żółtej Marsa nie korzystał z kosztownej peruki przywiezionej z Ziemi, co zaś do zębów, to uważał, że szczeka z nierdzewnej stali jest znacznie wygodniejsza niż plastikowa w kolorze naturalnym. Dowodziło to, jak bardzo oddalił się od współzycia z ludźmi, Poczul się lekko zawstydzony; doktor DeWinter miał racje.

Poczucie wstydu towarzyszyło mu od czasu zwycięstwa nad Proxmenami. Ta wojna budziła w nim sprzeciw; nie mógł się pogodzić z tym, że jedna z dwóch współzawodniczących ras musiała zginąć, skoro obie miały uzasadnione potrzeby.

To właśnie Mars był źródłem konfliktu. Obie cywilizacje potrzebowały go jako kolonii dla umieszczenia nadmiaru ludności. Dzięki Bogu w ostatnim roku wojny Ziemia uzyskała przewagę techniczną i teraz nie Proxmeni, a on i inni Ziemianie przywracali Marsa do stanu używalności.

- Nawiasem mówiąc - odezwał się DeWinter - przypadkiem wiem o pańskim planowanym wystąpieniu na forum inżynierów rekonstrukcji.

Milt Biskle spojrzął na doktora.

- Prawdę mówiąc - powiedział DeWinter - wiemy, że właśnie teraz zebrali się w Strefie Czerwonej, żeby wysłuchać pańskiej relacji. - Z szuflady biurka doktor wyjął jojo, wstał i z wielką wprawą zaczął wykonywać figurę zwaną "wyprowadzaniem psa". - Pańskiego paranoicznego wystąpienia o tym, że coś jest nie w porządku, chociaż nie potrafi pan dokładnie stwierdzić, o co chodzi.

- To jest zabawka popularna w układzie Proxymy - powiedział Biskle. - Tak w każdym razie przeczytałem w jednym z artykułów.

- Hmm. O ile wiem, pochodzi ona z Filipin. - Doktor DeWinter zamyslił się robiąc "dookoła świata". Wychodziło mu znakomicie. - Pozwoliłem sobie przesłać na to zebranie inżynierów rekonstrukcji ekspertyzę na temat pańskiego stanu psychicznego. Z przykrością stwierdzam, że zostanie ona tam odczytana publicznie.

- Nadal zamierzam powiedzieć tam swoje - stwierdził Biskle.

- No cóż, widzę pewną możliwość kompromisu. Niech pan przywitá swoją rodzinę, kiedy ta przybędzie na Marsa, a potem zorganizujemy panu wycieczkę na Ziemię. Na pański koszt. W zamian za to pan zgodzi się nie występować na zebraniu inżynierów rekonstrukcji i nie obciążać ich w żaden sposób swoimi mglistymi podejrzeniami. DeWinter wpatrywał się w niego z napięciem. - Ostatecznie jest to krytyczna chwila, przybywają pierwsi osadnicy. Nie chcemy tu awantur, nie chcemy nikogo straszyć.

- Może pan coś dla mnie zrobić? - spytał Biskle. - Niech mi pan pokaże, że ma pan perukę. I sztuczną szczękę. Tak, żebym miał pewność, że jest pan Ziemianinem.

Doktor DeWinter przekrzywił perukę i wyluskał z ust sztuczną szczękę.

- Przyjmuje pańska propozycja - powiedział Milt Biskle. - Jeżeli dopilnuje pan, żeby moja żona dostała nadział, który dla niej wybrałem.

Skinawszy głową DeWinter pchnął w jego stronę małą białą kopertę.

- Tu jest pański bilet. Powrotny, oczywiście.

Mam nadzieję, pomyślał Biskle biorąc bilet. Ale to zależy od tego, co zobacze na Ziemi. Lub raczej od tego, co pozwoli mi tam zobaczyć.

Miał przeczucie, że pozwoli mu zobaczyć bardzo niewiele. Tak mało, jak to tylko będzie w proxmensej mocy.

Kiedy jego statek wylądował na Ziemi, czekała na niego przewodniczka w eleganckim uniformie.

- Pan Biskle? - Szczupła, urodziwa i nieprzyzwoicie młoda, podeszła do niego energicznie. - Nazywam się Mary Ableseth, jestem panska przewodniczka z biura podróży Tourplan. Pokaze panu planete podczas panskiego krótkiego pobytu. - Uśmiechnęła się promiennie i bardzo profesjonalnie, aż go odrzuciło. - Bede panu towarzyszyć w dzien i w nocy.

- W nocy tez? - zdolał wyjakac.

- Tak, panie Biskle. To mój zawód. Spodziewamy się, że może pan się czuć zagubiony po latach pracy na Marsie... pracy, która my na Ziemi cenimy i podziwiamy tak, jak na to zasługuje. - Poszła obok niego kierując go w stronę zaparkowanego koptera. - Od czego chciałby pan zacząć? Nowy Jork? Broadway? Nocne kluby, teatry, restauracje...

- Nie, do Central Parku. Posiedzieć na ławce.

- Central Parku już nie ma, panie Biskle. Został zmieniony w parking rządowy, kiedy był pan na Marsie.

- Rozumiem - powiedział Milt Biskle. - W takim razie Portsmouth Square w San Francisco. - Otworzył drzwiczki koptera.

- To też jest teraz parking - powiedziała miss Ableseth potrząsając łsniącymi rudymi włosami. - Mamy tu takie diabelne przeludnienie. Może pan spróbuje czegoś innego. Zostało jeszcze kilka parków, zdaje się, że jest coś w Kansas i dwa w Utah, na południe, koło St. George.

- To zła wiadomość - powiedział Milt. - Czy możemy się zatrzymać przy automacie z amfetamina? Muszę zająć coś pobudzającego, żeby się podreperować.

- Oczywiście - powiedziała miss Ableseth wdzięcznie skłaniając głowę.

Milt Biskle podszedł do pobliskiego automatu ze środkami pobudzającymi, wyjął kieszeni dziesiątkę i wrzucił ją do otworu automatu.

Moneta przeleciała przez automat i z brzękiem upadła na chodnik.

- Dziwne - mruknął zaskoczony Biskle.

- Chyba wiem, o co chodzi - powiedziała miss Ableseth. - Ma pan marsjańskie monety przystosowane do mniejszej grawitacji.

- Hmm - mruknął Milt Biskle podnosząc monetę. Jak przewidywała miss Ableseth, czuł się zdezorientowany. Patrzył, jak ona wrzuca swoją monetę i wyjmując fiolkę z pastylkami amfetaminy. Jej wyjaśnienie brzmiało sensownie, a jednak...

- Mamy teraz ósma wieczór czasu lokalnego - powiedziała miss Ableseth - a ja nie jadłam jeszcze kolacji, choć pan pewnie jadł na pokładzie. Może mnie pan zaprosi na kolację? Moglibyśmy porozmawiać przy butelce pinot noir o tych niejasnych podejrzeniach, które sprowadziły pana na Ziemię. Ze dzieje się coś bardzo niedobrego i że cała wspaniała praca nad rekonstrukcją Marsa nie ma sensu. Chętnie bym o tym posłuchała. - Skierowała go do koptera i wcisnęli się razem na tylne siedzenie. Milt Biskle stwierdził, że jego towarzyszka jest ciepła, przytulna i zdecydowanie ludzka. Poczul zazenowanie, serce waliło mu jak przy Bóg wie jakim wysiłku. Od dawna nie był tak blisko kobiety.

- Proszę posłuchać - powiedział, podczas gdy kopter automatycznie wznosił się nad parkingiem. - Jestem żonaty, mam dwoje dzieci i przyleciałem tutaj w określonym celu. Przybyłem na Ziemię, żeby dowiedzieć, że to Proxmeni wygrali wojnę i że nieliczni pozostali ludzie są ich niewolnikami, pracującymi dla... - Umilkł. To było beznadziejne. Miss Ableseth nadal przytulała się do niego.

- Czy pan naprawdę myśli, że jestem agentką Proxów? - spytała miss Ableseth po chwili, kiedy przelatowali nad Nowym Jorkiem.

- N-nie - odpowiedział Milt Biskle. - Chyba nie. - Uwzględniając sytuację, nie wydawało się to prawdopodobne.

- Właściwie dlaczego ma pan spędzać swój czas na Ziemi w zatłoczonym, hałasliwym hotelu?

Moze pan zamieszka u mnie, w New Jersey. Miejsca jest dosyc, a mnie byloby bardzo miło.

- Zgoda - powiedzial Biskle czujac daremnosc dyskusji.

- To znakomicie. - Miss Ableseth wydalala polecenie kopterowi, który skrecil na północ. - Zjemy kolacje na miejscu. Tak bedzie taniej, zreszta do wszystkich przyzwoitszych restauracji jest o tej porze dwugodzinnna kolejka. Pewnie pan juz zapomnial. Jak to bedzie cudownie, kiedy polowa ludzi wyemigruje!

- Tak - powiedzial Biskle przez zacisniete szczeki. - I bedzie im sie podobalo na Marsie.

Zrobilismy tam dobra robote. - Poczul przyplyw optymizmu, poczucie dumy z dzieła, które wykonali on i jego współrodacy. - Sama pani zobaczy, miss Ableseth.

- Mówmy sobie po imieniu - zaproponowala poprawiajac ciezka ruda peruke, która jej sie przekrzywila w ciasnej kabinie koptera.

- Dobrze - zgodzil sie Biskle i, jesli nie liczyc cmiacego poczucia nielojalnoscii w stosunku do zony, zrobilo mu sie bardzo miło.

- Na Ziemi wszystko odbywa sie szybko - wyjasnila Mary Ableseth. - Z powodu wielkiego cisnienia przeludnienia. - Poprawila sobie szczeke, która tez jej sie przesunela.

- Wlasnie widze - zgodzil sie Milt Biskle i sam tez poprawil peruke i zeby. Czyzby sie mylil? zadawal sobie pytanie. Widzial przeciez w dole swiatla Nowego Jorku. Ziemia zdecydowanie nie byla wyludniona pustynia i cala cywilizacja pozostala nietknieta.

A moze byla to tylko iluzja narzucona jego systemowi percepcyjnemu za posrednictwem nie znanych mu proxmenschkich technik psychiatrycznych? Przeciez jego moneta przeleciala na wylot przez automat z amfetamina. Czy to nie sygnal, ze cos tu jest tajemniczo i okropnie nie w porzadku?

Moze tego automatu wcale tam nie bylo?

Nastepnego dnia Milt i Mary Ableseth odwiedzili jeden z niewielu ocalalych parków, w poludniowej czesci stanu Utah u podnóża gór. Park, choc niewielki, byl jaskrawozielony i uroczy. Milt Biskle lezal na trawie obserwujac wiewiórkę, która jak na sprezynie odskakiwala w strone drzewa ciagnac za soba szara smuge ogona.

- Na Marsie nie ma wiewiórek - powiedzial sennie Milt Biskle.

Mary Ableseth w skapym opalaczu wyciagnela sie na wznak z zamknietymi oczami.

- Przyjemnie jest tutaj, Milt. Wyobrazam sobie, ze tak musi byc na Marsie. - Na autostradzie za granica parku utrzymywal sie ozywiony ruch. Halas przypominal Miltowi szum fal Pacyfiku.

Podzialalo to na niego uspokajajaco. Wszystko wygladalo dobrze. Rzucil wiewiórkę orzeszek. Ta skrecila, kicnela w strone orzeszka, jej zmyslny pyszczek wyrazal zywe zainteresowanie.

Kiedy usiadla trzymajac w lapkach orzeszek, Milt Biskle rzucil drugi orzeszek nieco w prawo.

Wiewiórka uslyszala, jak spada wsród klonowych lisci i nastawila uszy. Miltowi przypomnialo to, jak bawil sie ze swoim kotem, starym ospalym kocurem, którego mieli z bratem, kiedy Ziemia nie byla jeszcze tak przeludniona i kiedy wolno bylo trzymac w domu zwierzeta. Czekal, az Kabaczek - tak sie nazywal kocur - zasnie i wtedy rzucal jakis maly przedmiot w kat pokoju.

Kabaczek budzil sie. Otwieral oczy, nastawial uszy, odwracal sie i siedzial tak przez pietnascie minut nasluchujac i wypatrujac, zastanawiajac sie, co tam halasuje.

Milt poczul smutek wspominajac swoje dobroduszne zarty ze starego kocura, ostatniego legalnego zwierzaka domowego, który juz od tylu lat nie zyje. Ale na Marsie znów bedzie mozna miec koty. To mu poprawilo humor.

Prawde mówiac, podczas swoich lat pracy na Marsie Milt mial ulubienca. Marsjanska roslina.

Przywiózł ja na Ziemię i stala teraz na stoliku w pokoju Mary Ableseth, z galazkami zwisajacymi raczej zalosnie. Nie czula sie zbyt dobrze w obcym klimacie Ziemi.

- Dziwne - mruknął Milt - że mój wug tak zmarniał. Zdawaloby się, że w wilgotniejszej atmosferze...

- To grawitacja - odezwała się Mary nie otwierając oczu. Oddychała regularnie, prawie spała. Milt przyglądał się leżąc kobiecie mając przed oczami Kabaczka w podobnej sytuacji. Hipnagogiczna chwila między jawą a snem, kiedy miesza się to co świadome i to co nieswiadome... sięgnął ręką po kamyk.

Rzucił go w liście blisko głowy Mary.

Zerwała się z szeroko otwartymi oczami gubiąc górę kostiumu. Nastawiła uszu.

- My, Ziemiańskie - powiedział Milt - utraciliśmy kontrolę nad muskulaturą uszu. Nawet czysto odruchowa.

- Co mówisz? - spytała mrużąc oczy i zawiązując biustonosz.

- Nasza zdolność do nastawiania uszu zanikła - wyjaśnił Milt. - W odróżnieniu od psów i kotów. Samo badanie morfologiczne człowieka nie zdradza tego, bo odpowiednie mięśnie są na miejscu. Popelniliście błąd.

- Nie wiem, o co ci chodzi - powiedziała Mary ponuro. Poswieciła całą uwagę na poprawianie biustonosza ignorując obecność Milta.

- Wracajmy do mieszkania - powiedział wstając. Odechciało mu się leżąc na trawie, bo przestał wierzyć w realność parku. Falszywa wiewiórka, falszywa trawa... czy rzeczywiście? Czy kiedykolwiek pokaże mu prawdę ukryta pod maską iluzji?

Wielce wątpliwe.

Wiewiórka podbiegła za nimi kawałek, kiedy szli do zaparkowanego koptera, potem zajęła się rodzina z dwoma małymi chłopcami, dzieci rzucały jej orzechy i wiewiórka uganiała się za nimi z wielką energią.

- Jak żywa - powiedział Milt. I była to prawda.

- Szkoda, że nie spędziłeś więcej czasu z doktorem DeWinterem, Milt. On by ci pomógł - powiedziała Mary dziwnie twardym głosem.

- Nie wątpię - zgodził się Milt Biskle wsiadając do zaparkowanego koptera.

Kiedy znaleźli się z powrotem w pokoju Mary, Milt stwierdził, że jego wug usechl. Wyraznie zginał z braku wilgoci.

- Nie próbuj szukać wyjaśnienia - powiedział do Mary, kiedy stali we dwoje patrząc na zwiedle, martwe pędy pełnej do niedawna wigoru rośliny. - Dobrze wiesz, czego to dowodzi. Ziemia powinna być wilgotniejsza niż Mars, nawet po rekonstrukcji. Tymczasem ta roślina zupełnie wyschła. Na Ziemi nie ma kropli wilgoci, bo, jak przypuszczam, proxmęskie bomby wysuszyły oceany. Czy mam rację?

Mary nie odpowiedziała.

- Jednego nie rozumiem - ciągnął dalej Milt. - W jakim celu podtrzymujecie te iluzje, skoro skończyłem swoją robotę.

- Może są inne planety wymagające rekonstrukcji - powiedziała Mary po chwili.

- Czy jest was aż tyle?

- Myślałam o Ziemi. Tutaj. Jej rekonstrukcja będzie wymagała pracy pokoleń; potrzebny będzie talent i umiejętności wszystkich inżynierów rekonstrukcji... Oczywiście, idę za twoją hipotetyczną logiką - dodała.

- Więc naszym następnym zadaniem jest Ziemia. Dlatego pozwoliliście mi tu przylecieć. Co więcej, będę musiał tu zostać. - Uświadomił to sobie dogłębnie i dotkliwie w przeblysku intuicji.

- Nie wróć już na Marsa i nie zobacz więcej Fay. Ty masz ją zastąpić. - Wszystko się zgadzało.

- Cóż - Mary uśmiechnęła się z przekasem - umówmy się, że próbuje. - Poglaskała go po ręce.

Bosa, wciąż jeszcze w opalaczu, powoli zbliżała się do niego coraz bardziej.

Odsunął się przestraszony, potem wziął uschniętą marsjańską roślinę, zaniósł ją do zsypu na smieci i wrzucił wysuszone krusze badyle. Znikły natychmiast.

- A teraz - rzuciła pośpiesznie Mary - polecimy do Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku, potem, jeżeli starczy nam czasu, do Instytutu Smithsona w Waszyngtonie. Kazano mi znajdować ci zajęcia, żebyś nie miał czasu na myślenie.

- Ale ja już myślę - powiedział Milt, patrząc, jak Mary przebiera się w szarą wełnianą suknię. Nic mnie od tego nie powstrzyma. I ty o tym wiesz. Tak samo będzie z każdym inżynierem rekonstrukcji, który skończy swoją strefę. Ja jestem tylko pierwszy.

Przynajmniej nie jestem sam, pomyślał. Poczł się nieco podniesiony na duchu.

- Jak wyglądam? - spytała Mary malując usta przed lustrem.

- Doskonale - powiedział Milt bez entuzjazmu, zastanawiając się, czy Mary będzie podejmować kolejno wszystkich inżynierów rekonstrukcji, zostając kochanką każdego z nich. Nie dość, że nie jest tym, kim się wydaje, to jeszcze nie będzie moja na stałe.

Odczuwał to jako nieuzasadnioną stratę.

Uswiadomił sobie, że zaczął się do niej przywiązywać. Mary była żywa istota, czy była Ziemianka, czy nie. Przynajmniej nie przegraliśmy wojny z jakimiś cieniami, przegraliśmy z autentycznymi żywymi organizmami. Trochę mu to poprawiło samopoczucie.

- Możemy ruszać do Muzeum Sztuki Nowoczesnej? - spytała Mary dziarsko, z uśmiechem.

Później, w Instytucie Smithsona, po obejrzeniu samolotu Lindbergha z 1927 roku i niesamowicie starożytnej maszyny braci Wright - wyglądała, jakby miała przynajmniej milion lat - dostrzegł eksponat, który spodziewał się zobaczyć.

Nie mówiąc nic Mary - była pochłonięta studiowaniem gabloty z kamieniami półszlachetnymi w ich naturalnym, nie szlifowanym stanie - oddalił się i po chwili stał przed eksponatem zatytułowanym **ZOLNIERZE Z PROXIMY, ROK 2014.**

Za szklaną tafelą zastygli trzej proximenscy żołnierze, z czarnymi pyskami zaplamionymi smarem i krwią, z bronią gotową do strzału, w improwizowanym bunkrze z resztek transportera opancerzonego. Obok zwisał bezwładnie zakrwawiony sztandar. Był to ostatni punkt oporu pokonanego wroga. Te istoty musiały się poddać albo zginąć.

Wokół stała gapiąc się gromadka zwiedzających.

- Jak żywe, co? - odezwał się Milt Biskle do najbliższego.

- Bardzo - powiedział starszy, siwowłosy mężczyzna w okularach. - Czy był pan na froncie? - spytał patrząc Miltowi w oczy.

- Jestem rekonstruktorem - odparł Milt. - Inżynierem Strefy Żółtej.

- Ach tak - mężczyzna spojrział na niego z szacunkiem. - Ale ci Proxmeni groźnie wyglądają, co? Prawie, jakby mieli za chwilę wyskoczyć z tej gabloty i walczyć z nami na śmierć i życie. - Wyszczepił zęby w uśmiechu. - Trzeba im przyznać, że dzielnie się bronili.

- Te ich pistolety przyprawiają mnie o gęsia skórę. Są aż nazbyt realistyczne - wtraciła siwa, sucha zona mężczyzny i z dezaprobatą odeszła.

- Ma pani rację - powiedział Milt Biskle. - Wyglądają przerazająco prawdziwie, bo są prawdziwe. - Tutaj nie było sensu wysiłac się na tworzenie iluzji, bo autentyki znajdowały się pod ręką, łatwo dostępne. Milt dał nura pod barierę ochronną i kopniakiem roztrzaskał szybę gabloty, która z wielkim brzękiem roz-sypała się w deszcz okruszków.

Kiedy nadbiegła Mary, Milt wyrwał bron jednemu z zastygłych Proxmenów i wymierzył ją w stronę Mary.

Stanęła dysząc gwałtownie. Patrzyła na niego w milczeniu.

- Jestem gotów pracować dla was - powiedział Milt trzymając fachowo pistolet. - Ostatecznie, jeżeli moja rasa nie istnieje, nie mogę rekonstruować światów dla niej, nawet ja to rozumiem. Ale chce znać prawdę. Pokaż mi prawdę, a będę nadal wykonywać swoją pracę.

- Nie, Milt - powiedziała Mary. - Gdybyś poznał prawdę, nie mógłbyś żyć i pracować. Skierowałbyś tę broń przeciwko sobie. - Mówiła spokojnie, nawet ze współczuciem, ale oczy miała szeroko otwarte, czujne.

- W takim razie zabiję najpierw ciebie, a potem siebie.

- Zaczekaj - zamysliła się. - Milt... to jest takie trudne. Nie wiesz absolutnie nic i spojrz, w jakim jesteś stanie. Wyobraź sobie, jak będziesz się czuł, kiedy zobaczysz, jak twoja planeta wygląda naprawdę. Ja ledwo mogę to wytrzymać, a ja jestem... - Zawahała się.

- Powiedz to.

- Ja jestem tylko - to słowo nie chciało jej przejść przez gardło - przybyszem.

- Więc mam rację. Powiedz to na głos.

- Masz rację, Milt - westchnęła.

Zjawili się dwaj umundurowani strażnicy z bronią. - Nic się pani nie stało, miss Ableseth?

- Na razie nie - powiedziała Mary nie spuszczać wzroku z Milta i jego pistoletu. - Zaczekajcie - poleciła strażnikom.

- Tak jest. - Strażnicy stanęli, nikt się nie ruszał.

- Czy jakieś ziemskie kobiety przeżyły? - spytał Milt.

- Nie - odpowiedziała Mary po chwili. - Ale my, Proxmeni, pochodzimy, jak wiesz, z tego samego gatunku co wy. Możemy się więc krzyżować. Czy to cię pociesza?

- Jasne - powiedział. - Bardzo. - Miał teraz ochotę strzelić sobie w łeb bez dalszej zwłoki. Tylko z największym wysiłkiem oparł się impulsowi. Więc jednak miał rację; tam, na Lotnisku Numer Trzy na Marsie, to nie była Fay. - Posłuchaj - zwrócił się do Mary Ableseth - chce wrócić na Marsa. Przyleciałem tutaj, żeby się czegoś dowiedzieć. Dowiedziałem się i teraz chce wracać. Może zwróci się znów do doktora DeWintera, może będzie mógł mi pomóc. Masz coś przeciw temu?

- Nie. - Chyba rozumiała, co on czuje. - Ostatecznie cała twoja praca wiąże się z tamtym miejscem. Masz prawo do powrotu. Ale wcześniej czy później będziesz musiał zacząć pracę tutaj, na Ziemi. Możemy poczekać rok, nawet dwa. W końcu jednak Mars zostanie zasiedlony i będziemy potrzebować przestrzeni życiowej. A tutaj, jak się sam przekonasz, będzie dużo trudniej. - Spróbowała się bezskutecznie uśmiechnąć; zauważył jej wysiłek. - Przykro mi, Milt.

- Mnie też - powiedział Milt Biskle. - Do diabła, zrobiło mi się przykro, kiedy zwiadł mój wug. Już wtedy znalazłem prawdę. Nie musiałem się domyślać.

- Pewnie cię zainteresuje, że inżynier Strefy Czerwonej, Cleveland Andre, wystąpił na zebraniu zamiast ciebie. I przekazał inżynierom twoje podejrzenia dodając swoje. Przegłosowali wysłanie tu, na Ziemię, oficjalnego delegata dla zbadania sprawy. Jest teraz w drodze.

- Interesuje mnie to - powiedział Milt - ale nie ma to większego znaczenia. Nic to nie zmienia. - Odłożył broń. - Czy mogę teraz wrócić na Marsa? - Czuł zmęczenie. - Powiedz doktorowi DeWinterowi, że wracam. - Powiedz mu, pomyślał, żeby przygotował wszystkie techniki psychiatryczne, jakie ma w zanadrzu, bo będzie ich potrzebował. - A co z ziemskimi zwierzętami? - spytał. - Czy ich formy przetrwały? Co z psami i kotami?

Mary spojrzała na strażników, przebiegł między nimi błysk porozumienia.

- Może jednak spróbujemy - powiedziała.

- Co spróbujecie? - spytał Milt.

- Pokazać ci. Tylko na chwilę. Wygląda, że znosisz to lepiej, niż przypuszczaliśmy. Według nas

masz do tego prawo. Tak, Milt - dodała. - Psy i koty przeżyły. Mieszkają tu wśród ruin. Chodź i patrz.

Czy nie miała racji poprzednio, myślał idąc za nią. Czy naprawdę chce to zobaczyć? Czy potrafię stawiać czoło rzeczywistości - temu, co dotychczas uważali za konieczne ukrywać przede mną?

Przy wyjściu z muzeum Mary stanęła.

- Wyjdź na zewnątrz, Milt. Ja tu na ciebie zaczekam - powiedziała.

Z wahaniem zrobił kilka kroków.

I zobaczył.

Tak, jak powiedziała Mary, były to ruiny. Miasto zostało ścięte na wysokości trzech stóp od ziemi. Budynki zmieniły się w puste kwadraty pozbawione zawartości, niczym jakiś nieskończony system starożytnych dziedziców. Nie mógł uwierzyć, że to co widzi, jest nowe; wydawało się, że opuszczone ruiny były tu zawsze, dokładnie takie jak teraz. I... jak długo takie pozostaną?

Z prawej strony wylądował na zasypanej gruzem ulicy skomplikowany, ale niewielki mechanizm. Na oczach Milta wypuścił wiązki pseudopodiów, które wwierciły się w pobliskie fundamenty. Żelazobetonowe ściany nagle rozsypały się w proch; ukazała się naga ziemia, ciemnobrowa, przepalona atomowym zarem wytworzonym przez autonomiczny automat oczyszczający - bardzo podobny, pomyślał Milt Biskle, do tych, które stosują na Marsie. W jakimś niewielkim stopniu automat wykonywał zadanie usuwania przeszłości. Z własnego doświadczenia na Marsie wiedział, że wkrótce, może za parę minut, przybędzie na jego miejsce równie skomplikowany mechanizm, który przygotuje grunt pod nowe budowle.

Po jednej stronie pustej poza tym ulicą stały obserwując te niesmiałe próby odgruzowania dwie szare, chude sylwetki. Dwaj Proxmeni z orlimi nosami, z jasnymi, naturalnymi włosami ułożonymi w wysokie fryzury, z płatkami uszu rozciągniętymi ciężkimi ozdobami.

Tryumfatorzy, pomyślał sobie. Z satysfakcją oglądają niszczenie pozostałości zwyciężonej cywilizacji. Któregoś dnia wyrosnie tutaj czysto proxmense miasto: proxmense architektura, dziwny, proxmense rozkład ulic, jednolite budynki jak pływające w ziemi boje z wieloma podziemnymi piętami. I mieszkańcy, tacy jak ci, zapelnia rampy i szybkobieżne chodniki spiesząc do swoich codziennych zajęć. A co się stanie, pomyślał z tymi ziemskimi kotami i psami, które kryją się w ruinach, jak twierdzi Mary? Czy nawet one wyginą? Może nie całkowicie. Może znajdzie się dla nich miejsce w muzeach i ogrodach zoologicznych jako dla dziwadła, na które będą się gapić. Zabytki nie istniejącego systemu ekologicznego, który już nie ma znaczenia.

A jednak... Mary miała rację. Proxmeni należeli do tego samego gatunku co Ziemiańskie. Nawet gdyby nie mogli się krzyżować z ocalałymi Ziemiańskimi, gatunek przetrwał. A przecież będą się krzyżować, pomyślał. Jego własny romans z Mary jest zwiastunem przyszłości. Różnice osobnicze nie są tak duże. Rezultat może być nawet całkiem dobry.

Rezultatem - myślał wchodząc z powrotem do budynku muzeum, może być rasa nie całkiem Proxmenów i nie całkiem Ziemiańskich. Z tej krzyżówki może się zrodzić coś autentycznie nowego. Przynajmniej możemy mieć taką nadzieję.

Ziemia zostanie odbudowana. Na własne oczy widział ograniczone, ale autentyczne prace rekonstrukcyjne. Może Proxmeni nie rozporządzali takimi umiejętnościami, jak on i jego koledzy... ale teraz, kiedy prace na Marsie były na ukończeniu, mógł zacząć tutaj. Sprawa nie była całkiem beznadziejna. Nie do końca. Podeszedł do Mary.

- Zrób coś dla mnie - powiedział ochryplym głosem. - Zdobądź dla mnie kota, którego będę mógł zabrać na Marsa. Zawsze lubiłem koty. Zwłaszcza rude pasiaste.

Jeden ze strażników spojrzal na swojego towarzysza.

- Da sie zrobic, panie Biskle - powiedzial. - Znajdziemy panu... szczeniaka, czy tak sie to nazywa?

- Chyba kociaka - poprawila Mary.

W drodze powrotnej na Marsa Milt Biskle trzymal na kolanach pudelko z rudym kociakiem i obmyslal swój plan. Za pietnascie minut statek wyladuje na Marsie, gdzie przywita go doktor DeWinter czy tez to, co udawalo doktora DeWintera. I wtedy bedzie juz za późno. Ze swojego miejsca widzial wyjscie awaryjne z czerwonym swiatelkiem. Jego plan wiazal sie z tym wyjsciem. Nie bylo to idealne, ale trudno.

Rudy kociak siegnal lapka i pacnal w dlon Milta, który poczul, jak ostre male pazurki kalecza mu skóre. W zamysleniu przeniósł dlon poza zasieg badajacego swiat zwierzatka. I tak by ci sie nie podobalo na Marsie, pomyslal i wstal z fotela.

Trzymajac pod pachą pudelko podszedl szybko do wyjscia awaryjnego. Zanim stewardesa zdolala mu przeszkodzic, otworzyl drzwi. Zrobil krok i drzwi zamknely sie za nim. Znalazl sie w ciasnej sluzie i zaczal otwierac ciezkie drzwi zewnetrzne.

- Panie Biskle! - dobiegl go glos stewardesy zduszony drzwiami. Uslyszal, jak tamta mocuje sie z drzwiami i stara sie go zatrzymac.

Kiedy zwalnial zamek zewnetrznych drzwi, kociak w pudelku pod jego pachą fuknal gniewnie. Ty tez? pomyslal Milt i zatrzymal sie.

Smierc, pustka i absolutny brak ciepla przestrzeni kosmicznej saczyly sie do sluzy przez szpare w drzwiach. Poczawszy to podobnie jak kot cofnal sie instynktownie. Stal tak, trzymajac pudelko, nie próbujac szerzej otworzyc drzwi, i w tej chwili dopadla go stewardesa.

- Panie Biskle - powiedziala zdławionym glosem - czy pan oszalal? Na Boga, co pan wyrabia? - Udalo jej sie domknac zewnetrzne drzwi i zakrecic srube zabezpieczajaca.

- Dobrze pani wie, co robie - odpowiedzial Milt Biskle, pozwalajac sie odprowadzic na miejsce. I niech pani nie myśli, ze to pani mnie powstrzymala, dodal w mysli. Bo to wcale nie pani.

Moglem to i tak zrobic, ale sie rozmyslilem.

Sam nie wiedzial dlaczego.

Później, na Lotnisku Numer Trzy na Marsie, tak jak sie spodziewal, czekal na niego doktor DeWinter. We dwójke poszli do czekajacego koptera.

- Wlasnie sie dowiedzialem, ze w drodze... - zaczal zmartwiony DeWinter.

- To prawda. Chcialem popelnic samobójstwo. Ale sie rozmyslilem. Moze pan wie dlaczego. Jest pan psychologiem, specjalista od tego, co sie dzieje w srodku czlowieka. - Wsiadl do koptera uwazajac na pudelko z kociakiem.

- Czy obejmie pan z Fay przyslugujacy panu nadzial, mimo ze... pan wie? - spytal DeWinter, podczas gdy kopter przelatyl nad zielonymi, wilgotnymi polami wysokobialkowej pszenicy.

- Tak - kiwnal glowa Milt. Ostatecznie nie widzial przed soba zadnej innej drogi.

- Ach, wy Ziemianie - DeWinter potrzasnal glowa. - To wspaniale. - Dopiero teraz zauwazyl pudelko na kolanach Milta. - Co pan tam ma? Stworzenie z Ziemi? - Przyjrzel sie kociakowi podejrzliwie, widac bylo, ze jest to dla niego obca forma zycia. - Dosc dziwnie wygladajacy organizm - zauwazyl.

- Bedzie mi dotrzymywac towarzystwa - powiedzial Milt Biskle. - Podczas gdy bede kontynuowac swoja prace na mojej prywatnej dzialce... Albo pomagajac wam, Proxmenom, na Ziemi, dokonczyl w mysli.

- Czy to jest cos, co nosilo nazwe grzechotnika? Slysze odglos jego grzechotek. - Doktor DeWinter odsunal sie nieco.

- On mruczy. - Milt Biskle poglaskal kociaka, podczas gdy automatyczny pilot prowadzil ich kopter pod buroczerwonym marsjanskim niebem. Ten kontakt ze znana forma zycia zachowa mnie przy zdrowych zmyslach, uswiadomil sobie. Umozliwi mi dalsze zycie. Poczul wdziecznosc. Moja rasa zostala pokonana i zniszczona, ale nie wszystkie ziemskie istoty wyginely. Kiedy odbudujemy Ziemie, moze uda nam sie uzyskac od wladz zgode na zalozenie rezerwatow. Uczynimy to czescia naszych planow, pomyslal glaszczac kociaka. Przynajmniej mozemy zywic taka nadzieje.

Siedzacy obok niego doktor DeWinter tez pograzyl sie w myslach. Podziwial mistrzostwo stacjonujacych na trzeciej planecie inzynierow, ktorzy zbudowali automaton spoczywajacy w pudelku na kolanach Milta Biskle. Osiagniecie techniczne bylo imponujace nawet dla niego, a on widzial wszystko jasno w przeciwienstwie do Milta Biskle. Ten majstersztyk techniki, uznawany przez Ziemianina za autentyczny organizm ze znanego swiata, stanie sie osia jego rownowagi psychicznej.

A co z innymi inzynierami rekonstrukcji? Co im pomoze przezyc moment odkrycia prawdy, kiedy kazdy zakonczy swoja prace i chcac nie chcac bedzie sie musial... ocknac?

Bedzie to dla kazdego cos innego. Dla jednego pies, dla innego bardziej skomplikowany automaton, moze mlodziutka ludzka samica. W kazdym przypadku bedzie to "wyjatek" od prawdziwego stanu. Jedyna wybrana istota ze swiata, ktorzy w rzeczywistosci przestal istniec. Zbadanie przeszlosci kazdego inzyniera dostarczy potrzebnej informacji, tak jak w przypadku Biskle'a; imitacje kota przygotowano na wiele tygodni przed jego nagla, paniczna wyprawa na Ziemie. Dla inzyniera Andre, na przyklad, budowano juz imitacje papugi. Zostanie ukonczone przed jego wyprawa na Ziemie.

- Nazwe go Grom - oswiadczył Milt Biskle.

- Dobre imie - powiedzial ten, ktorzy ostatnio tytulowal sie doktorem DeWinter. Szkoda, pomyslal, ze nie mogliśmy mu pokazac prawdziwej sytuacji na Ziemi. Wlasciwie to ciekawe, ze zaakceptowal to, co zobaczyl, bo na jakims poziomie myslenia musi sobie zdawac sprawe, ze nie ma prawa przetrwac takiej wojny, jaka prowadzilismy. Widocznie rozpaczliwie chcial uwierzyc, ze cos, chooby ruiny, pozostalo. Ale czepianie sie uludy jest typowe dla umyslu Ziemian. Moze to wyjasnia ich porazke: nie byli realistami.

- Ten kot - przerwal mu rozmyslania Milt Biskle - wyrosnie na poteznego lowce marsjanskich myszy piaskowych.

- Na pewno - zgodzil sie doktor DeWinter. Jezeli mu baterie nie wysiada, pomyslal i on tez poglaskal kociaka.

Pod wplywem nacisku kot zamruczal glosniej.